Szames raju - świetlisty anioł - odblask promiennej łaski Miłościwego Pana - raz do roku wychodzi z raju i ogarnięty niepokojem i troską otwiera okienko w niebie. Wystawia promieniejącą głowę i zwracając się do zachodzącego słońca drżącym głosem zadaje pytanie:

- Słońce, nie wiesz, czasem, co się dzieje z Lejblem Końsko-wolskim?

Słońce nie odpowiada. Nie wie.

Ogarnięty jeszcze większym niepokojem, cofa anioł swoją promienistą głowę. I nie na próżno niepokoi się anioł.

Oto już od kilku dni szumi w niebiosach od przedśmiertnego modlitewnego wołania Lejbla Szma Israel - Słuchaj Izraelu.

I dalsze słowo tego wersetu echad [jeden - Bóg] rozsypuje się niczym srebrny śrut przed Tronem Najwyższego.

I toczy się słowo echad, i bzyka, i szumi, i wrze niczym rój cieni latających do płomienia, który je przyciąga. I spalają się w ogniu z dziką rozkoszą, jaką dają tylko „cierpienia miłości”.

Po raz ostatni anioł usłyszał wołanie Szma Lejbla z Końskowoli podczas modlitwy porannej szachrit. W modlitwie popołudniowej mincha nie słychać już było głosu Lejbla z Końskowoli. W modlitwach i pochwalnych hymnach wszystkich światów nastąpił widocznie jakiś defekt.

Jakby w orkiestrze nagle jakiś instrument przestał wydawać dźwięki. Jakby struna w pierwszych skrzypcach nagle pękła.

Czyżby Lejbl Końskowolski zapomniał odmówić modlitwę mincha?

A może podczas wieczornej modlitwy maariw powtórzy za to dwakroć osiemnaście błogosławieństw?

Tymczasem słońce schodziło coraz niżej. Skrzętnie schowane cienie uzyskują zezwolenie na wyjście z ukryć. Wyłaniają się ze szczelin skał nad morzami. Z nor i jaskiń na pustyniach. Zza drzew gałęzi i liści rosnących w głębokich lasach. I cienie rozprzestrzeniają się po osiedlu. Oplatają sobą wszystko dookoła.

Oto słońce zupełnie zniknęło z horyzontu. Nagle bezgłośnie zabłysły na niebie gwiazdy i księżyc. One przejmują teraz władzę nad światem. Na czas nocy... I przędą swoją zaczarowaną pajęczynę - srebrną sieć nad zmęczoną ziemią...

Wraz ze zniknięciem słońca na niebie, zniknęło też zwierzę z napisem „Prawda” na czole. I razem z księżycem wynurzyło się z drugiej strony inne zwierzę, z napisem „Wiara” na czole.

I oto po cichu otwierają się bramy nieba, żeby wpuścić do środka dusze pogrążonych we śnie ludzi. Dusze przybywają w nocy do nieba, żeby napisać w księgach, jak przeżyły dzień...

Zaczyna się skrzypienie piór i rozlega się trzepot niezliczonych skrzydeł aniołów. Skrzydeł białych jak śnieg i skrzydeł szarych od plam. Tych jest więcej. Są też skrzydła czerwone od krwi.

I szumem i zgiełkiem wypełniają się niebiosa. Szumem powstałym z mieszaniny słów modlitwy, słów tęsknoty, skruchy, miłości, nadziei i lęku.

Nagle w jednej sekundzie wszystko się urywa. Jakby zastygło. Jakby zdrętwiało. Wokół Bożego Tronu wije się srebrzysta mgła. Wije się, snuje się i staje się coraz ciemniejsza...

I zza tej mgły dochodzi odgłos - niby gruchanie gołębia:

- Biada mi za to, że zniszczyłem mój Dom... Za to, że spaliłem Moją Świątynię. Za to, że wypędziłem mego jedynego syna... I przeogromne uczucie litości przenika wszystkie siedem niebios...

Znów zalega cisza. Wszystko czeka z zapartym tchem na cud, na dziw, na nową wieść...

Ale nic podobnego się nie wydarzyło.

Tymczasem rozległ się głos z dołu. To kogut pieje. Mgła oplatająca Boży Tron zaczyna się rozwiewać. Zaczarowana zgroza pęka. Rozpływa się... Znowu otwierają się okna nieba. Dusze odlatują na ziemię...

Aniołowie za pomocą brylantowych pogrzebaczy wypędzają spóźnione, drżące, zapłakane i bezgranicznie przerażone dusze...

Wkrótce na dole, na ziemi, rozlega się stukanie. To szamesi bożniczni stukają w okiennice, wzywając ludzi do modlitwy o północy zwanej Chacot.

I w mig zaczyna blednieć napis „Wiara” na czole zwierzęcia. Blednie i blednie. Na wschodniej stronie nieba pojawia sięczerwonawy, cienki promień...

Szames raju budzi się z głębokiego snu. Podchodzi do okienka w niebie i otwiera je. Wystawia głowę i głośno woła:

- O księżycu, o gwiazdy, czy potraficie mi powiedzieć zanim znikniecie, co się stało z Lejblem Końskowolskim?

I na to jego pytanie rozjarzyła się złociście daleka maleńka gwiazdeczka. Podpłynęła do okienka i powiedziała:

- Ja potrafię, świetlisty aniele! Przesuwałam się po niebie nad Końskowolą i zajrzałam przez okno do jego izby... On umiera... Lejbl Końskowolski kona.... stary człowiek... jego biała broda lśni jak najczystsze srebro... twarz ma jednak żółtą, pomarszczoną. Widziałam, jak mu pod nosem położyli pnuku. ale ono nie drgnęło.

I anioł, szames raju, nikogo o zdanie nie spytawszy, z własnej inicjatywy udał się na ziemię, żeby zabrać duszę Lejbla.

Pomyślał, że wielka, nieoczekiwana radość zapanuje w raju.

Czarne i białe anioły żwawo za nim lecą. I kiedy ten świetlisty anioł-szames znalazł się na miejscu, zastał u wegzłowia konającego Lejbla czarnego anioła.

Miałby czarny anioł wcześniej zlecieć z nieba na ziemię? Może wybrał krótszą drogę? Kto to może wiedzieć?

- Co ty tutaj robisz? - pyta zdziwiony i drżący ze strachu czarnego anioła. - To przecież Lejbl Końskowolski!

- To co z tego? - Śmieje się czarny anioł i w skrzywionych otwartych jego ustach błyskają dwa rzędy lśniąco białych zębów.

- Ta dusza jest moja. Ja jestem szamesem raju.

- Bardzo mi przyjemnie! A ja jestem tylko diabłem z piekła. Poczekajmy, to zobaczymy, jak sprawa się potoczy.

I mówiąc to, wyciągnął nogą spod łóżka konającego zawiązany sznurkiem woreczek.

- Co jest w tym woreczku - pyta jasnego anioła.

- Tałes i tefilin - próbuje biały anioł zgadnąć.

- Pod łóżkiem nie przechowuje się takich rzeczy. Pod łóżkiem przechowuje się tylko grzechy!

Schyla się, rozwiązuje sznurek i otwiera woreczek, po czym uderza w niego nogą. I oto złocisty blask rozciąga się po izbie, a w ślad za nim podąża złocisty dźwięk. Jednocześnie wysypują się z woreczka złote dukaty.

- Złodziejskie pieniądze! Zbójeckie pieniądze! - woła czarny anioł. - Wycyganił je od naiwnych ludzi. Wydarł je wdowom, zrabował od sierot, wykradł je ze skarbonek, w których zbierane były datki dla biednych. Przesiąknięte są łzami i krwią. Zobacz, jak Lejbl budzi się, kiedy tylko ruszają jego złoto.

Konający ma oczy zamknięte. Miota się. Rzuca się.

Białego anioła ogarniają dreszcze. Pierwszą parą skrzydeł zasłania sobie twarz. Przez szczelinę w okiennicy wdziera się do izby promień wschodzącego słońca. Pada na powieki konającego.

Pod działaniem promienia powieki zaczynają drżeć.

Po raz ostatni konający otwiera do połowy oczy. Pożółkłymi wargami wyszeptuje pytanie:

- Kto tu jest?

- Ja - odpowiada czarny anioł. - Przyszedłem zabrać ci duszę.

- Dokąd?

- Do piekła!

Z przerażenia opadają konającemu powieki. Dobry anioł stara mu się pomóc:

- Proś Boga! Módl się! Odpokutuj, wyraź skruchę. Jeszcze jest czas...

Porzuć swoje złoto...

I konający zaczyna szeptać Sznia.

- On nie porzuci złota - powiada zły anioł i kładzie swoje czarne skrzydło na gardle Lejbla. Głos konającego został zdławiony.

Zawstydzony biały anioł odsuwa się od łóżka.

***

Ciemnej, deszczowej nocy, wśród zgiełku, krzyków i harmidru rozlega się w piekle ostry, świdrujący rozkaz:

- Nachman ze Zbaraża kona... obcinał paznokcie nie tak jak prawo przewiduje i wyrzucał je... nie raz zapomniał odmawiać modlitwę mincha. Kto chce udać się po jego duszę?

- Ja - zawołał anioł zagłady - już lecę, a wy przygotujcie kocioł i wrzącą smołę.

I podskoczywszy z uciechy wyleciał z piekła.

Źli aniołowie latają szybko. Na szczęście dobrzy aniołowie leż potrafią szybko latać. Pomaga im w lataniu wielkie miłosierdzie.

Kiedy anioł zagłady doleciał do łóżka chorego, zastał u jego węzgłowia białego, dobrego anioła. Siedział właśnie przy chorym i pocieszał go:

- Biedny człowieku, nie bój się śmierci... to tylko most, malutka granica między ciemnością i światłem... to krótkie przejście od zmartwień i niepokoju do szczęścia i pokoju...

Zdaje się jednak, że chory tego nie słyszy. Błądzi oczami po ścianach.

Zdumiony czarny anioł staje w drzwiach i pyta białego:

- Kolego, czy ty się nie mylisz?

- Nie - odpowiada dobry anioł. - Mnie tu posłano po duszę chorego. Po jego czystą, miłosierną duszę. Ty już nie masz nad nią władzy.

- Ależ on obcinał paznokcie nie tak, jak przewidują nakazy.

- Wiem o tym - przerywa mu dobry anioł. - Za to człowiek ten ani jednej chwili ze swego życia nie poświęcił dla własnej wygody. Całe życie poświęcił dla dobra słabych i chorych. Niósł

pomoc wdowom i sierotom. Wszystkim cierpiącym, umęczonym i zabłąkanym.

- W naszej księdze zapisane jest, ile razy nie odmówił modlitwy mincha.

- Ale też nigdy nie odmówił pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Nigdy nie zapominał udzielić pociechy strapionym. Zawsze pokrzepiał tych, którym ze zmęczenia opadły skrzydła nadziei. Nie zbudował sobie własnego domu... nie naprawił nawet dachu nad głową. Nie zadbał o miękkie łóżko. Nie szukał miłości u kobiety. Nie żywił nadziei, że doczeka się satysfakcji ze swoich dzieci. Wszystko, co czynił, dla dobra bliźnich czynił. On bowiem stawiał dobro bliźniego wyżej od własnego...

Po niebie płyną gęste czarne chmury. Chwilami rozdziera je błyskawica, po czym stają się jeszcze bardziej gęste i bardziej czarne.

Światło błyskawicy po raz ostatni budzi konającego.

Spalonymi wargami pyta:

- Kto tu jest? Kto siedzi u mego węzgłowia?

- To ja, jasny anioł, wysłannik Miłościwego Pana na wysokościach. Z Jego polecenia przyszedłem zabrać twoją duszę. Chodź ze mną!

- Dokąd?

- Do nieba. Do raju.

- Niebo... raj... - mamrocze w gorączce konający - a jak się żyje tam w niebie, w raju?

- Dobrze... w promiennym blasku łaski Bożej, w światłości Tronu Wiekuistego. I każdy przybywający tam mieszkaniec nosi złotą koronę na głowie.

- Blask, złoto, korony - mruczy konający - ale co ja tam będę robił?

- Niczego nie będziesz musiał tam robić.

Tam zaznasz wiecznego odpoczynku, wiecznego zadowolenia... nieustannego szczęścia... Chodź!

- Ale co tam będę robił? - Konający natęża wszystkie siły, żeby obrócić się twarzą ku dobremu aniołowi. - Powiedz mi, czy są tam osoby potrzebujące pomocy? Osoby, które należy podnieść z upadku, osoby chore, które trzeba uleczyć? Przecież tylko to jest moim szczęściem.

- Nie. Takich osób nie ma tam. Tam nikt nie potrzebuje pomocy.

- Więc co tam będę robił? Tam, gdzie nikt nie potrzebuje mojej duszy, mego serca, moich łez, moich słów pocieszenia.

Czarny anioł, słysząc słowa konającego, cieszy się. Wystawia język i oblizuje się z zadowolenia. Kpiący uśmiech nie schodzi

z jego warg. Szeroko otwiera usta i dwa rzędy białych zębów, niczym błyskawica, rozświetlają ciemną izbę.

Straciwszy rezon dobry anioł zagubił się. Nie wie, co ma powiedzieć konającemu.

- To co będzie, aniele? Co?

Dobry anioł obraca twarz ku oknu i wbija wzrok w niebo. Oczekuje stamtąd rady. Ale niebo jest zamknięte. Żadne słowo z niego nie pada. Żaden promyk się nie przebija. Żadna iskra nie błyska. Za to coraz nowe, coraz gęstsze chmury pokrywają je. I cień pada na twarz anioła. Groźnie wygląda niebo. Bije z niego gniew i złość. Jeszcze nigdy takiego nieba nie widział. Ciarki przechodzą mu po grzbiecie.

Zły anioł skwapliwie wykorzystuje chwilę zagubienia się białego anioła. Podchodzi do łóżka konającego z drugiej strony i powiada:

- Chodź lepiej ze mną.

- Dokąd?

- Tam, dokąd tęskni twoje serce... tam, gdzie znajdziesz nieszczęśliwych, głodnych i spragnionych. Tam, gdzie czekają na ciebie umęczeni, zagubieni, wyklęci, zapomnieni przez Boga. Pomóc im, prawda, nie potrafisz, ale za to będziesz mógł im współczuć i razem z nimi cierpieć.

- Idę z tobą! Z tobą.

I biały anioł wrócił do nieba z pustymi rękami.

## Rozlewisko

Piaszczysta, słabo przejezdna droga wyłania się z rzadkiego, krzywo rosnącego, iglastego lasku, którego - zgodnie z wyjaśnieniami woźnicy Macieja - nie opłacało się wyrąbać.

Droga szerokim pasmem ciągnie się wśród rzadko obsianych owsem chłopskich pól.

Maciej wskazuje mi ruchem bata rosnący w polu owies i smutnym głosem zauważa:

- Jeszcze stoi. Czy opłaca się go skosić?

Nie czekając na odpowiedź odwraca się do koni, które wykorzystały chwilę jego nieuwagi i dobrały się do owsa. Lewy koń, który zdążył już wsadzić pysk w owies dostał batem po grzbiecie.

- Psia krew! - syknął Maciej.

Nadciąga cicha, smutna, bezksiężycowa noc. Podobnie do owsa w polu, migocą rzadko rozsiane gwiazdeczki na niebie. Migocą jakoś leniwie, jakby były zmęczone, zabłąkane. Jakby odwalały narzucony im obowiązek. Spłoszone przez nas ptaki w lesie coraz rzadziej za nami latają. Po prawej stronie pola widać ciągnący się luźny łańcuch skąpo zarośniętych pagórków, które powoli i leniwie posuwają się do tyłu. Przypominają źle ostrzyżone owce. Oto jedna wlazła na drugą i zastygła w bezruchu. Słońce od dawna już jest po drugiej stronie. Ostatnie świetlne pasmo na krańcu horyzontu powoli gaśnie pod dojrzałymi mgłami. Po lewej stronie, pośród rzadkiego owsa błyskają tu i ówdzie światełka.

- Czy to wieś? - pytam.

- To nasza wieś - odpowiada Maciej i widząc, że nie mam ochoty pozwolić mu na przyśnięcie, wzdycha i posłuszny mojej woli wyciąga zza pazuchy glinianą fajkę. Zapychają machorką i zapala. Błysk ognia od zapałki rozjaśnia na czerwono jego na pół obróconą ku mnie twarz obramowaną gęstym włosem.

- Tak - powtarza Maciej - to nasza wieś.

- Dlaczego tak rozrzucona?

- Tak wyszło... dziedzic zawarł sztamę z komisją... czy myśmy to zrozumieli?

- A Żydzi u was mieszkają?

- U nas nie. Na naszych polach nie wolno. Na dziedzicowych...

- Dziedzice pozwalają?

- Nie za darmo. Także zależy który... ten, co nie słucha się księdza...

- Czy Żydzi szkodzą wam?

- Szkodzą?

Obrzuca mnie badawczym wzrokiem. Przez chwilę milczy, po czym dodaje:

- Ale do czego są nam potrzebni ? W polu nie pracują. „Nie ich ręce”. A kto im da ziemię? Na tym polega cały problem. Dawniej dzierżawili karczmy...

- Ludzie pili?

- Grzeszny człowiek...

- Na kredyt?

- Jak kiedy... przed Nowym Rokiem. Z całą pewnością na kredyt.

- I Żyd zapisywał?

- Oczywiście! A jak inaczej! Podarować miał? Czy on nie miał żony i dzieci? Każdy troszczy się o swój kawałek chleba.

- Podwójną kredką?

- Kto tam wie? Moja połowica tak.

- Ona także?

- Ona także. Musowo. Często się musi... Po pijanemu chciała kiedyś Moska podpalić.

- Co to za Mosiek?

- Nasz Mosiek... który wtedy dzierżawił karczmę... dzisiaj handluje u nas. Uczciwy człowiek z tego Mośka. Co do kredy, to nie wiem, ale w ogóle to dobry człowiek. Taki, jakiego nam trzeba. Potrafi zaprowadzić do felczera, doktora i adwokata. On wszystko potrafi.

- A ona go nie podpaliła?

- Gdzie tam! Pobiegła z płonącą pochodnią, żeby podpalić jego karczmę i upadła na ulicy. Po dziś dzień ma ślad, po poparzeniu na ręce. Po prostu upadła z ręką w ogień. Podniosła krzyk... ledwo udało się ją odratować... potem, rzecz oczywista, przeprosiła Mośka i ten jej wybaczył... dobry człowiek z niego. Oto właśnie stoi tam.

Batem pokazuje kogoś z daleka. Ja widzę tylko jakiś cień na skraju drogi.

- To jego chałat - powiada Maciek - kołysze się. Nosi na plecach worek. Zapewne idzie po coś do miasta.

- To dlaczego stoi?

- Chce, żeby go przewieźli przez rozlewisko.

- Jakie rozlewisko?

- Tam, na końcu wsi.

Szerokie lustrzane pasmo pod niebem uznałem za rosę. Nie była to jednak rosa.

- Czy pan nie wie, że tego roku nie mieliśmy ani deszczu, ani rosy? To woda.

- Przeprawimy się promem?

- Jakim tam promem? Woda sięga do kostek. To stojąca woda.

- Woda deszczowa?

- Chyba tak.

- Z otaczających wzgórz?

- Musowo.

Jedziemy dalej i z cienia robi się człowiek, prawdziwy Mosiek. Widzę już wyraźnie, jak się kołyszą poły jego chałata. Biała broda drży.

Zrównaliśmy się z nim. Już ręką uchwycił się wozu.

- Dobry wieczór, Macieju!

- Dobry wieczór, Mośku!

- Przewieź mnie przez wodę.

- Dziesiątak!

- Papieros!

- I jeszcze kopiejka.

- Dwa papierosy.

Targuje się Mosiek z chłopem, krocząc po piasku za wozem.

- Poproś pana puryca - powiada Maciek.

I Mosiek zmienia rękę, obraca się twarzą ku mnie.

Chudy, siwiuteńki Żyd.

- Pan - zaczyna - pozwo...

Ale nie kończy. Ma przenikliwszy wzrok od chłopa.

Od razu poznaje, że ze mnie żaden tam puryc. I natychmiast jest już połową ciała na wozie. Zastanawia się tylko, gdzie ma usiąść. Może przy powożącym chłopie? Mimo wszystko pasażer to jednak „Niemiec”.

Ja jednak zdążyłem zrobić mu miejsce obok siebie.

- Siadajcie, reb Mojsze!

Dwa razy nie trzeba mu powtarzać. Już usadowił się i już gada:

- Po pierwsze, szolem alejchem Żydowi, a po drugie, serdeczne dzięki!

Machorka Macieja działa jak wódka. Można się upić.

I po trzecie:

- Skąd Żyd wie, że nazywam się Mojsze? Pan mnie zna?

Mówię mu skąd wiem i on ze swojej strony uspokaja mnie.

- Tylko przejadę przez rozlewisko - powiada - i zaraz po tym kieruję się na prawo. A pan zapewne jedzie w lewo?

Zaczyna mnie badać, ale ja przerywam mu:

- Jakże ta woda w rozlewisku błyszczy! Istne lustro.

- Ba! Taka woda... - i na tym kończy, aleja czuję, że za tym się coś kryje.

- Co to za woda? Deszczowa?

- Deszczowa! - powiada ze złością - a kiedy padał tu deszcz?

- W takim razie musi gdzieś tu być jakieś źródło.

- Skąd tutaj źródło? - W promieniu dziesięciu mil nie ma niczego takiego.

- W takim razie co?

- W takim razie nic.

Ma jakąś tajemnicę.

- A jednak skąd ta woda?

- Co będziemy gadali po próżnicy...

I chcąc zmienić temat pyta mnie:

- Czym Żyd handluje?

Teraz już wiem z całą pewnością, że z tą wodą nie jest tak całkiem prosto.

A ona błyszczy tak cudownie spokojnie w tą cichą noc... i on jakoś dziwnie, niezwyczajnie, patrzy na nią. Nie odrywa od niej oczu... i wyczuwam w jego głosie coś niezwykłego... muszę

skłonić go do mówienia. Niech zacznie gadać.

- Coś tam ludzie - powiadam - gadają o tej wodzie.

- Mało co ludzie potrafią wygadywać...

Jakoś mi niedowierza. Częstuję go papierosem, ale on nie pali.

- A może by tak po łyczku? - Wyciągam butelkę.

- Przed modlitwą wieczorną? Nie wchodzi w rachubę. Szykowałem się już do odmawiania modlitwy, kiedy usłyszałem, że ktoś jedzie. Wybiegłem więc na drogę. Zwykle przechodzę prze? rozlewisko. Woda nie głęboka. Do kostek. Ale w tym tygodniu ze zdrowiem nie jestem w porządku. Boję się przeziębienia. Rozumie pan? Wieczorną modlitwę odmówię już tam, na miejscu. A pan niech sobie łyknie. Na zdrowie!

- Nie piję nigdy sam - i mówiąc to chowam butelkę z powrotem w torbie.

- Może pan odmówi teraz wieczorną modlitwę?

- Na drodze się nie modlę.

- Wio! - To Maciej popędza konie, które z trudem pokonują górkę.

- Widzi pan - powiada reb Mojsze. - Nie uchodzi modlić się przy chłopie.

Zalega cisza. Po chwili znowu zadaję pytanie:

- A jak wam się powodzi, reb Mojsze?

- Dzięki Najwyższemu, jakoś się żyje.

Znowu milknie. Nie ma o co go zaczepić, ale próbuję:

- Wiecie co, reb Mojsze?

- A co na przykład?

- Niech Mojsze coś opowie. Dookoła panuje cisza. Taka nieprzyjemna cisza.

- Co też wpadło panu do głowy? I o czym to mam opowiedzieć?

- Chociażby o tym rozlewisku. Przecież Mojsze ma gotową opowieść o nim.

- A jeśli mam, to pan chciałby mieć powód do śmiechu?

- Uchowaj Bóg!

- Może być że nie, ale dzisiejsze czasy... „syjonizm”...

- Co to ma wspólnego z „syjonizmem”?

- Nie wiem, ale nagle zrobiła się tu jakaś rewolucja... jeszybotnicy. Stają się syjonistami. Porzucają naukę Talmudu i wyczyniają okropne rzeczy. „Niemcy” stają się syjonistami i szybko chcą wrócić do „żydowskości”... ogolone brody i „żydowskość” - wyobrażacie to sobie? Nie mam, broń Boże, pana na myśli.

- Jaki to ma związek z tą wodą.

- Ma... oto na przykład... ale niech się pan nie obraża... „Niemiec” staje się pobożny. Właśnie wypadła rocznica śmierci matki, więc idzie do żydowskiej restauracji i za jej duszę zamawia sobie „kugel”. Jego „żydowskość” to kugel... pańska żydowskość to być może są opowiastki. Czy pan może obchodzi dzisiaj rocznicę czyjejś śmierci?

I mimo to opowiedział mi historię rozlewiska. Nie wykluczone, że jemu chciało się bardziej opowiedzieć ją, niż mnie słuchać.

W miejscu, gdzie teraz jest rozlewisko, stało kiedyś miasteczko... nieduże miasteczko, można powiedzieć bardzo małe, ale można było w nim żyć. Można było zarabiać na życie.

- Gdzie się podziało to miasteczko?

- Tam, gdzie się wszystko podziało! Tu kiedyś rósł las i gdzie się podział? Dookoła wszędzie był las. Był tu „majątek”. W tamtej stronie lasu stał pałac.

- Widziałem ruinę...

- Rozpadł się pałac dokumentnie. W tamtych dobrych czasach mieszkał w nim pewien hrabia... w nocy pałac był oświetlony mnóstwem pochodni. Światło bijące z pałacu widać było z odległości siedmiu mil... I las kipiał życiem. Panowie dziedzice gwizdali, trąbili i polowali, gonili, strzelali i hulali. Rozbijali biwaki na trawie. Były kobiety i była muzyka. I płonęły pochodnie. Jedli i pili. I psy szczekały. Ale już się zaczęło... W pobliżu zamieszkali Niemcy. Zaczęli wycinać drzewa z lasu. Z drzewa powstawały deski. Z desek gonty. Gonciarze zbudowali sobie budki. Przed każdą budką było ognisko. Gonciarze pracowali przy świetle ogniska. Ich żony gotowały kolację przy ognisku. I było wesoło, i śpiewało się... Jeden gonciarz śpiewa i gwiżdże do drugiego, ten do trzeciego. A gwizd i śpiew rozchodzi się po lesie. W miejscu, gdzie teraz jest rozlewisko, mieszkał przed laty wiejski pachciarz. Z czasem sprowadził do siebie na wikt i opierunek dwóch zięciów i kilka synowych. Zaangażował mełameda. Dobudował kilka domków... sprowadził rytualnego rzeźnika i po kilku latach wyrosło miasteczko.

Miasteczko, w którym dało się żyć.

Dziedzic upolował zająca, gajowy, za jego plecami, jedenaście, dwanaście skórek za pół darmo. Ponadto mleko i nabiał z trzech folwarków. Trochę zboża, a zboże dziedzica jeszcze na polu. Same „kondycje” i sklepiki: żywność, perfumy... świece, miód i wszelkiego rodzaju wina... dwór tego wszystkiego potrzebuje. Gromadka Żydów siedziała nad świętymi księgami i studiowała... kobiety zaś handlowały. Rodzony brat autora książki Piękno dni - był tu rabinem... posyłało się do Warszawy do rabina-brata kilka kur, trochę miodu jako dodatek do „pytań i odpowiedzi”, które

zaczynały się tymi słowy: „Kochany bracie, wziąwszy pod uwagę to i to”... Z czasem pojawili się uczeni cieszący się sławą. Byli to absolwenci jeszywy, którzy ożenili się z tutejszymi dziewczynami. Słowem, miasteczko miało wagę, miało znaczenie. Niczego mu już nie brakowało. Znalazł się nawet Lamedwawnik - czyli jeden z trzydziestu sześciu sprawiedliwych, dzięki którym według mistyki żydowskiej świat istnieje i trwa.

Woziwoda?

Nie! Kuśnierz. Porządny, uczciwy Żyd, ale nie bardzo wykształcony.

Można powiedzieć nieuk. Oczy ma zawsze wbite w modlitewnik: Nawet pierwszego fragmentu codziennej porannej modlitwy Aszrej [początek I psalmu - Szczęśliwy] na pamięć nie zna. Nie słychać, żeby modląc się, wypowiadał jakieś słowa.

Powiadają, że nie umie czytać po hebrajsku. Ale strasznie pobożny! Przed Dniem Odpuszczenia, czyli przed Jom Kipur, poddaje się biczowaniu. Szamesowi, który smaga go rózgami, każe mocno bić. Chce poczuć prawdziwy ból. Podczas święta Sukot stoi godzinami pod drzwiami rabina. Chce odmówić błogosławieństwo nad etrogiem samego rabina. W święto Hoszana Raba (siódmy dzień Sukot) znika na cały dzień i przynosi takie piękne gałązki palmowe zwane Hoszanot, których nigdzie nie uświadczysz. Ale pewnego dnia, w dzień powszedni Święta Pe- sach albo święta Sukot wydarza się taka historia: Jest noc. Dwaj młodzi ludzie wracają z jakiejś uroczystości albo z wizyty u chorego. Są to młodzieńcy, którzy większą część życia spędzają na studiowaniu Pisma w Bejthamidrasz. Tej nocy długo dyskutowali nad jakimś naukowym problemem, mijają rynek i przechodzą mimo mieszkania kuśnierza. I oto uwagę ich zwraca światło w pokoju kuśnierza. Co to może być? Zaraz po świętach będzie jarmark, dlatego ten prostak pracuje w święto. I zaraz znajdują uzasadnienie w wersecie, który brzmi: „Prostak nie może być pobożny". Chcą go złapać za rękę. Nie mają z tym trudności. Okiennica nie jest zamknięta. Jest tylko przymknięta. Pukają więc w okno. I jak myślicie, co zobaczyli? Kuśnierz ślęczy nad księgą i płacze. Z oczu obficie leją się łzy. W pokoju jest jasno od światła. Nie jest to jednak światło palącej się na stole łojowej świeczki. Kuśnierz robi swoje. Nie słyszy, jak otwierają okiennice... Niech to już pozostanie tajemnicą - powiadają młodzieńcy po cichu... co to może znaczyć?

W kilka lat później wydarza się coś innego. Nagle, ni stąd ni zowąd rozległ się dziwny, niesamowity dźwięk. Brzmi długo, prawie nieprzerwanie. Co to znaczy? Gdzieś w okolicy, po tym jak umarł miejscowy rabin urzędowy, gmina sprowadziła dwóch

rabinów. Jednego sprowadzili notable miasta, drugiego zaś - chasydzi. Dzisiaj ludzie przyzwyczajeni są do tego, ale wtedy jeszcze nie. Zaczęła się kłótnia o to, kto ma sprawować funkcję rabina, kłótnia graniczą z profanacją Imienia Boskiego. Zwołano jedno zebranie mieszkańców, drugie i trzecie. Do porozumienia nie doszło. Postanowiono zwrócić się do lubelskiego rabina. Niech on rozstrzygnie. Sprawa jest bowiem nieprosta. Obaj kandydaci do objęcia stanowiska rabina w mieście są w równym stopniu wykształceni.

Obaj są porządnymi i uczciwymi Żydami. Obaj zostali sprowadzeni w tym samym dniu. Jeden przybył ze wschodniej części kraju, drugi z zachodniej. I obaj spotkali się na samym środku rynku. Jak więc dokonać wyboru? Kogo odprawić z kwitkiem?

- I co rzekł rabin z Lublina?

- Na tym polega cała rzecz. On nic nie orzekł... Nie posiada

- powiedział - takiej wagi, żeby móc wyważyć rabinów. W takim razie co? I tu zaczyna się dopiero cała rzecz...

I rozniosła się wieść. Rabin lubelski poradził wysłać do miasteczka dwóch szacownych obywateli, podał im nazwę tego miasteczka, na miejscu mają odszukać kuśnierza Lejbla (tak bowiem nazywał się nasz kuśnierz) i zapytać o to, który z dwóch rabinów ma objąć stanowisko. Jego decyzja powinna być dla gminy ostateczna. I wtedy rozległ się ów uporczywy dźwięk. Kto tę historię opowiedział? Nikt nie ma pojęcia. Czy byli tu jacyś obcy ludzie? Okazuje się, że tak. Po ulicach kręcili się jacyś dwaj niemiejscowi osobnicy... jakoś inaczej ubrani... nie handlowali, niczego nie kupowali, niczego nie sprzedawali. I nagle zniknęli. Już znalazł się człowiek, który jakoby widział ich pod domem kuśnierza. Biegnę więc do rabina, ale on o niczym nie wie. Idźcie - powiada -- do Lejbla i zapytajcie go. Przychodzę do Lejbla, a ten właśnie zbiera się do drogi.

- Dokąd jedziecie, reb Lejblu?

Już zwracają się do niego per „reb” Lejbel.

Do Ziemi Izraela jedzie.

Rozumiecie co się dzieje? Ledwie został ujawniony i już wybiera się do Ziemi Izraela.

- Czy pojechał?

- Pojechał.

***

Maciej śpi w najlepsze. Wóz najeżdża na gałąź po byłym drzewie i o mało się nie wywraca. Skończyło się na strachu.

Jedziemy teraz ostrożnie i powoli. Reh Mojsze zaczyna snuć dalej swoją opowieść.

- Tak, na czym to stanąłem? Aha, na tym jak wyjeżdżał. Był jednak jeszcze jeden porządny Żyd. Taki bardziej gadatliwy, bardziej srogi. Troszeczkę nawet stuknięty. Był nauczycielem małych dzieci. Nazywał się Josel Bercies. I tego właśnie Josla kazał Lejbel kuśnierz zawołać przed swoim wyjazdem. Musi mu coś przekazać...

Wóz kryty budą stoi gotowy do wyjazdu, wypełniony już jest pasażerami. Wszyscy czekają, a oni dwaj, czyli Josel i Lejbel, po cichu sobie coś szeptają.

Widać, że to sprawa niezmiernie ważna.

- Przyjmij do wiadomości - powiada Lejbel do Josla - że Władca Ognia gniewa się na naszą gminę.

- Dlaczego - pytam ja reb Mojszego.

- To samo pytanie zadał Josel Lejblowi, ale ten nie udzielił mu odpowiedzi. Może nie chciał mu odpowiedzieć. Wyjaśnił tylko, że to zbyt długa historia i buda czeka aż wsiądzie. Nie chce, żeby woźnica zaczął przeklinać... ale jedno jest pewne, Władca Ognia pogniewał się na miasteczko i chce je spalić. Jak długo tu byłem, nie dopuściłem do tego... Nocami ślęczałem nad świętymi księgami... Władca Ognia rzuca iskrę na słomiany dach, a tedy ja ronię łzę na księgę, która gasi skrę na dachu! Teraz rozumie pan co się stało owego powszedniego dnia między świętami? I tak działo się przez wiele lat. Zmagaliśmy się. On - ogień. Ja - wodę. Dzisiaj

- powiada - wyjeżdżając stąd chcę, żebyś ty, Josel, ochraniał gminę. Żebyś był moim następcą.

- Miałbym przez wszystkie noce ślęczeć nad księgami i ronić

łzy?

- Nie! Tego od ciebie nikt nie wymaga. To nie na twoje siły. Zemdlejesz i z omdlenia zapadniesz zaraz w sen. Ale dwa Imiona Boga ci przekażę. Jedno na wywołanie deszczu! Jeśli się do Niego zwrócisz, to za pierwszym razem zacznie kapać. Nie będzie jeszcze chmur na niebie i mimo to będzie kapało. Kiedy po raz drugi wymówisz Imię Boga prosząc o deszcz, pojawią się chmury na niebie i zacznie lać jak z cebra. A jeśli po raz trzeci zwrócisz się z tą prośbą do Boga, pojawią się chmury wielkości gór, które zakryją całe niebo i spadnie ulewny deszcz, który zgasi największy ogień. Jeśli jednak stwierdzisz, że wystarczy, posłużysz się drugim Imieniem Boga. Jest to Imię służące do zamówienia suszy. Ledwo wymówisz je, zjawi się wiatr ze wschodniej strony, który niczym miotła zmiecie chmury z nieba. I zaraz wyłoni się upalne, lipcowe, słońce. Sama rozkosz. I w mgnieniu oka zrobi się ciepło i sucho jak za piecem... ale bądź ostrożny... nie używaj tego Imienia Boga

dwa razy, bo wtedy powstanie taki upał, taki żar, po prostu istny ogień, który spali całe zboże ... ludzie, zwierzęta i ptaki, mogą, uchowaj Bóg, zwariować. I, nie daj Bóg, nastąpi rok nieszczęścia. Rok głodu.

I tak było

Nie minął tydzień po jego wyjeździe, jak ni stąd ni zowąd ku naszemu nieszczęściu zawitał do miasteczka pewien Niemiaszek. Interesują go drewniane podkłady i wszelkie inne drewno. Niczego z tych rzeczy nie kupuje. Chodzi tylko z fajką w ustach po ulicach i domach, i pyta ludzi o cenę. Wszystko skrupulatnie zapisuje w notesie. Pyka i notuje. I oto pewnego wieczoru zadął wiaterek. Wyrwał z fajki iskrę i powiał ją na słomiany dach. Było to, jak powiedziałem, wieczorem. Mężczyźni jeszcze odmawiali przedwieczorną modlitwę mincha w bożnicy. Wpadają do niej handlujące w rynku kobiety z krzykiem: Pali się! Pali się spichlerz tego czy innego właściciela. Nim zorientowano się w sytuacji, rozszalał się pożar w całym miasteczku.

Zaczęła się bieganina, rozległy się krzyki. Wszyscy szukają wody. Studnia jest bez sznura. Gdzie się podziały sznury? Biegną do „Dworu” po nowe sznury, a ten stoi w płomieniach.

Ale jest przecież Josel. Biegną więc do niego. Ten biegnie najpierw do mykwya, żeby trzy razy zanurzyć się w jej wodzie. Wychodzi wymawiając znane mu Imię Boga, wymawia po raz drugi Imię i zaczyna z nieba lać jak z cebra. Było jednak już za późno. Ogień wzmógł się i z każdą chwilą staje się większy. Woda deszczowa spada wrząc i kipiąc na ogień. Aż wrze i kipi w uszach. Po raz trzeci wymawia Imię. I oto pojawiają się czarne chmury z czterech stron kraju. Zaczyna się prawdziwa ulewa. Co tu dużo gadać, prawdziwy potop.

- Ugasił pożar? - pytam.

Reb Mojsze ma zmartwioną minę.

- Nie. W jednej chwili miasteczko spłonęło.

- Było za późno?

- To po pierwsze! Po drugie, Josel zapomniał jak brzmi drugie Imię Boga. Potop zatopił to, co pozostało po pożarze. Widzi pan tę wodę? To pozostałość i pamiątka po tamtej ulewie. Nie wyschła do dzisiaj.

- Ale jak ulewa ustała?

- Co tu się wymądrzać? Potopu przecież nie mogło być. Kiedyś musiało przestać padać.

Wjeżdżamy do rozlewiska.

- Cud nad cudami! - Woła reb Mojsze.

- Co? - pytam.

- Takie rozlewisko i konie przez nie przechodzą...

I Maciej pyka fajkę... jakby nigdy nic.

## Cuda na morzu

W Holandii, w pochylonym ze starości domku nad brzegiem morza, mieszkał żydowski rybak. Był jedynym Żydem wśród rybaków. Z natury małomówny. Można rzec - nieme stworzenie. I dziwnie brzmiące nosił imię - Satie. Otrzymał je prawdopodobnie po jakimś prapradziadku, który nazywał się z hebrajska Saadie... On jednak o pochodzeniu swego imienia nie miał zielonego pojęcia. W ogóle mało wiedział, co jest żydowskie. Pochodził z wielopokoleniowej rodziny rybaków. Morze było jego żywiołem. Dni, miesiące i lata całe spędził na morzu. Jakie więc mógł mieć pojęcie o żydostwie? On, żona i dzieci byli jedynymi Żydami wśród rybaków nie-Żydów. On łowi ryby, żona wiąże sieci; dzieci harcują razem z innymi gojowskimi dzieciakami na brzegu, szukając w piasku bursztynów.

Bywają sytuacje, kiedy podczas połowu morze staje się nagle burzliwe i łodzią zaczyna miotać sztorm. Życiu rybaka zagraża wtedy śmiertelne niebezpieczeństwo, ale ani Satie na morzu, ani jego żona z dziećmi w domu nie potrafią pomodlić się, żeby je zażegnać. Nikt z rodziny nie

zawoła Sznia Israel, nie wypowie słów, które Żyd wypowiada głośno w obliczu zagrażającej śmierci.

Patrzy wtedy Satie w niebo i głosu z gardła nie wydobywa. Żona w domu wali głową o ścianę albo gniewny wzrok wbija w czarne niebo, zaś dzieci, wraz ze wszystkimi dzieciakami z rybackiej osady, stoją na piaszczystym brzegu morza i wołają:

- Santa Maria! Santa Maria!

Skąd zresztą mógł Satie czerpać wiedzę o żydostwie, jego obyczajach, modlitwach? Iść na piechotę do odległej gminy było mu za ciężko. Pojechać - za drogo. Biedny, ledwie wiązał koniec z końcem. Poza tym morze tak łatwo od siebie nie puszcza. Ojciec Satiego, jego dziadek i pradziadek zginęli na morzu. Siła przyciągania morza jest potężna. Morze jest chyba najgroźniejszym wrogiem człowieka. Bywa fałszywe, błędne, nieprzewidywalne ale mimo to rybak kocha je i żadna siła go od niego nie oderwie. Rybak chce żyć na morzu i na morzu umrzeć.

***

Ze wszystkich żydowskich obyczajów przetrwał w rodzinie Satiego obyczaj świętowania Jom Kipur.

W wigilię Jom Kipur, z samego już rana, w domu Satiego ustawiano największy stół. Cała rodzina udawała się do miasta, żeby zanieść gminnemu rzezakowi rytualnemu rybę do posiłku poprzedzającego post na Jom Kipur. Posiłek spożywali w domu rzezaka. Następnego wieczoru, po zakończonym nabożeństwie i odbyciu całodziennego postu, rodzina Satiego zasiadała znowu do kolacji w domu rzezaka.

Podczas świątecznego nabożeństwa rodzina rybaka pilnie wsłuchiwała się w głos kantora w holenderskiej synagodze. Z przyjemnością chłonęła śpiew kantora i chóru, z wtórującymi im organami. A kantor w sposób szczególnie miły prowadził modlitwę. Słów modlitwy, rzecz jasna, rodzina Satiego nie rozumiała. Wlepiała tylko oczy w Arkę Przymierza, a potem w kaznodzieję z jarmułką w kolorze złota na głowie. Kiedy złota jarmułka podnosiła się w górę, wszyscy modlący się w synagodze wstawali ze swoich miejsc. Kiedy opuszczała się w dół, wszycy siadali na swoje miejsca. Czasami Satie zapadał w czasie nabożeństwa w drzemkę. Był zmęczony postem i przebytą drogą. Wtedy siedzący obok Żyd trącał go łokciem i budził.

I tak wyglądał Jom Kipur w rodzinie Satiego. O tym, że jest to groźny Sądny Dzień, w którym nawet ryby drżą ze strachu w wodzie, a w niebiosach dzieje się coś niezwykłego, Satie nie miał pojęcia. Dla niego Jom Kipur to było święto, podczas którego słucha się śpiewu chóru i gry na organach, pości się cały dzień, a po końcowej modlitwie zwanej neila idzie się do rzezaka na kolację (co słowo neila znaczy, nie wiedział).

Sam rzezak gminy też nie miał większego pojęcia o święcie. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Przecież mieszkają w Holandii.

Natychmiast po kawie podawanej na koniec kolacji Satie wstawał od stołu i zaczynał żegnać się z rodziną rzezaka. Składał

w imieniu swojej rodziny życzenia, po czym wraz z żoną i dziećmi wyruszał na piechotę w drogę powrotną do morza. Do morza - mówił - a nie do domu.

Na dłużej zatrzymywać się w mieście nie chciał.

Rzezak i jego żona często mieli do niego z tego powodu pretensje:

- Przecież miasta nie zdążyliście obejrzeć.

- Co tam miasto - odpowiadał Satie.

Mówcą, skorym do gadania, Satie nie był. Morze nauczyło go milczenia. Miasta nie lubił. Zbyt ciasne. Nie ma w nim powietrza. Nic ma nawet nieba. Między dachami wąski paseczek światła... Morze zaś to nieobjęta, wolna przestrzeń... Nad morzem oddycha się swobodnie i lekko.

Satie powiedział te słowa z wielką mocą. Rzezak na to odparł:

- Dobrze, ale morze jest twoim wrogiem. To śmierć.

- Tak, ale jest to dobra śmierć.

A Satie chce właśnie taką śmiercią zejść z tego świata. Taką samą śmierć ponieśli jego ojciec i dziadek. Chce, żeby go morze pochłonęło w pełni sił i zdrowia. Nie chce chorować i w powolnej agonii skonać w łóżku... Nie chce słyszeć, jak wokół jego łóżka płaczą... Nie chce być pochowany w twardej ziemi. Brr! Na samą myśl o takim pogrzebie robi mu się zimno...

I cała rodzina podąża pieszo do morza.

A kiedy nocą pieszo się idzie, to nad ranem widzi się, jak pięknie wstaje dzień i jak blask światła odbija się złotem na piasku brzegu morza. I nie koniec na tym, bo oto po chwili wynurza się przed oczami czyste lustro wody morza. I człowieka ogarnia natychmiast wielka radość. I ręce same składają się do oklasków.

Takiej radości nie odczuwa nawet zakochany nowożeniec na widok oblubienicy. I tak płynie życie z roku na rok. Zmienia się rybak. Rzezak mniej. Obyczaj Jomkipurowy pozostaje niezmienny. Post, chór, organy, ryba na kolację po neili u rzezaka, pożegnanie i składanie sobie

życzeń.

To wszystko stanowiło jedyną nić łączącą go z narodem żydowskim.

***

I oto pewnego poranka, kiedy słońce ledwie zaróżowiło się na niebie, morze obudziło się. Ledwie słychać jak oddycha, ledwie słychać jego szum. Leniwie toczy swoje fale. Powoli i sennie. Tu i ówdzie zaczyna trzepotać w błękitnym powietrzu para białych skrzydeł. Gdzieniegdzie rozlega się głos ptaka, po czym zalega cisza. Nad morzem pojawiają się łagodne, delikatne blaski. Na

żółtym przybrzeżnym piasku ślizgają się złote plamy. Rybackie chaty stojące niedaleko brzegu są jeszcze zamknięte. W jednej tylko chacie skrzypią drzwi. To Satie właśnie wychodzi...

Dzisiaj bowiem jest wigilia Jom Kipur. Na twarzy wyraz powagi i pobożności. W oczach pogoda i spokój. Idzie spełnić boski nakaz. Ma złowić rybę na świąteczną kolację u rzezaka gminy.

Odmierzonymi krokami podchodzi do łodzi. Chwyta za łańcuch, którym łódź przywiązana jest do nabrzeża. Łańcuch dzwoni i za jego dzwonieniem nagle rozlegają się trwożne krzyki z lewej i prawej strony:

- Nie wypływaj! Nie czyń tego!

To sąsiedzi, rybacy, wychyleni z okien ostrzegają go.

A morze wydaje się spokojne. Szeroko rozlane, splata się falami z krawędzią uśmiechniętego porannego nieba. Słychać, jak lekko oddycha. Widać, jak u samego brzegu lekko się marszczy. Przypomina jasno błyszczący uśmiech wśród zmarszczek na twarzy dobrej babuni. Coś tam sobie morze mruczy. Jakby opowiadało jakąś babciną bajkę wystającym skałom, pokrytym zielonym porostem przypominającym włosy. I głaszcze je po włosach. Igra z nimi i uśmiecha się. Prawdziwi rybacy znają się dobrze na morzu. Nie ufają jego uśmiechom i dlatego wciąż słychać ostrzeżenie:

- Nic czyń tego! Nie wypływaj!

Morze zaczyna się kołysać. Wkrótce rozkołysze się na dobre. I jasne, równe lustro wody pęknie, a igraszki fal przestaną być zabawne. Ciche mruczenie przejdzie w krzyk. Z łagodnych zmarszczek fal wyłonią się wysokie bałwany, a w ich czeluściach znikną łodzie, a nawet statki. Połkną tak, jak Lewiatan połyka małe rybki.

- Nie wypływaj!

Jakiś stary rybak o siwych, rozwichrzonych włosach, bez czapki, o twarzy zmarszczonej jak morze, ale bez jego fałszywego, słodkiego uśmiechu wybiega na bosaka z chaty. Podbiega do Satiego i kładąc mu rękę na ramieniu woła:

- Popatrz, Satie!

Pokazuje mu małą, czarną plamkę na krawędzi nieba. Jest tak mała, że tylko wprawne oko rybaka jest w stanie ją dostrzec.

- Z niej powstanie chmura.

- Zdążę przedtem wrócić do domu. Muszę złowić rybę.

Twarz starego sąsiada nabiera powagi:

- Satie, pamiętaj, że masz żonę i dzieci!

- I Boga w niebie - odpowiada Satie.

I nie słuchając ostrzeżenia sąsiada wyrusza na morze, żeby wypełnić micwę - boski nakaz. Odpycha szybko łódź od brzegu i wskakuje do niej...

A łódka lekko i spokojnie płynie. Delikatnie kołysze ją morze. Słodko szumiąc, obejmuje ją i głaszcze falami.

Stary rybak nie odchodzi od brzegu i suchymi wargami szepce: Santa Maria! Santa Maria!

Lekko, spokojnie oddala się łódź od brzegu. Wprawną ręką zarzuca Satie sieć, która po chwili zaczyna nabierać ciężaru. Staje się coraz bardziej ciężka. Satie napina mięśnie i ze wszystkich sił stara się wyciągnąć sieć z wody. Wreszcie udaje mu się to, ale w sieci nie ma ryby. Są tylko wodorosty.

Stojący na brzegu stary rybak dawno już stracił łódź z oka. Tymczasem Satie raz po raz zarzuca sieć, ale ryby jak nie było, tak nie ma.

A morze kołysze się coraz mocniej i mocniej. Na niebie ukazało się już słońce, ale blask ma jakiś wilgotny. Zapłakane słońce. I maleńka plamka na niebie tymczasem zdążyła się

rozciągnąć pod słońcem niby zwijający się, brunatny wąż. Rozciągając się, z minuty na minutę ciemnieje coraz bardziej, podpływa pod samo słońce.

Jest już południe, a Satie wciąż usiłuje złowić rybę. A nuż szczęście się do niego uśmiechnie.

- Bóg - myśli sobie Satie -widocznie nie chce, żebym tego roku wypełnił Jego micwę. Trzeba więc zawrócić!

I na tę myśl smutek ogarnia jego serce. Zapewne popełnił jakiś grzech, i dlatego Bóg nie chce przyjąć od niego ofiary. Szybko chwyta za ster i zamierza skierować łódź do brzegu, ale w tej samej chwili coś chlasnęło wodą w jego twarz. Obraca się w stronę, z której chlusnął na niego strumień wody, dostrzega złotą rybę, która igrając w morzu, rozpryskuje ogonem wodę. Na jej widok Satie powiada do siebie:

- Tę rybę muszę koniecznie złowić. Sam Bóg przeznaczył ją dla mnie. Zobaczył, jak jestem zmartwiony, jak pragnę wypełnić Jego micwę i dlatego zesłał mi ją.

I zaniechawszy powrotu do brzegu, puścił się w pogoń za rybą.

Tymczasem morze już na dobre się rozkołysło. Fale zaczęły się wznosić coraz wyżej. Połowę słońca pokryła już chmura. Jaskrawe, świecące bielą promienie przebijają się zza chmury. Ryba unosi się na powierzchni fal, a łódź Satiego goni za nią. Nagle ryba znika, bo oto między nią a łodzią wyrasta ogromna fala, istny słup wody.

- Mami mnie, wabi - pomyślał Satie. Znowu jest gotów skierować łódź do brzegu, ale w tej samej chwili ta ogromna fala opada. Wydaje się, że nagle została pochłonięta przez morze. Znów ukazuje się ryba, która podpłynęła prawie pod samą łódź. Ma

otwarte na całą szerokość oczy. Błagalnie wpatruje się w Satiego, jakby mówiła:

- Weź mnie... spełnij nakaz Boga. Wyświadcz mi tę przysługę!

Satie chce już sięgnąć po rybę, gdy ta nagle znika. Oto bowiem

nowa, ogromniasta fala wyrasta między rybą a łodzią. Morze znowu burzy się i szumi. Szumi nieprzyjazną pieśnią. Jest w niej gniew i złość. „Jak można w taką porę wypływać na morze? To bezczelność. Tylko zuchwalec pozwala sobie deptać fale".

I słońce, jakby ogarnięte nagłym strachem, chowa się za chmurą. Na to chyba czekał wiatr. Poczuł się wolny, swobodny i rozszalał się. Chłoszcze morze niby rózgami. Drażni je, doprowadza do wściekłości. Już słychać jak morze huczy. Huczy tak, jakby tysiąc bębnów naraz zabębniło w jego wnętrzu.

- Do domu! Wracać do domu!

Serce w piersi Satiego zaczyna walić młotem. Wciąga sieć do łodzi, mocno chwyta w ręce ster i ze wszystkich sił wiosłuje ku brzegowi. Żyły w rękach niemal pękają z natężenia. Fale miotają łodzią jak łupiną orzecha. I niebo jest już całkiem czarne.

- Do domu!

Nagle, spojrzawszy na drugą stronę łodzi, zauważa podpływające do niej ciało człowieka. To kobieta. Może topielica. Z przodu unoszą się na wodzie jej włosy. Są czarne. Takie włosy ma jego żona. Spod włosów wynurzają się ręce. Białe ręce. Takie ręce ma jego żona. I słychać głos: Ratuj!

To głos jego żony... głos matki jego dzieci. Z pewnością wzięła drugą łódź i popłynęła za nim. Tonie, wzywa go na pomoc.

Chce obrócić łódź w kierunku kobiety, ale burzliwe fale nie pozwalają. Wznoszą się między nią a łodzią. Na morzu szaleje sztorm. Wśród wycia i huku słychać wyraźnie głos żony:

- Satie, pomóż! Satie, ratuj!

I Satie zbiera wszystkie swoje siły, żeby dopłynąć do tonącej. Już jest blisko białej plamy. Jej włosów już nie widać. Zauważa tylko suknię kobiety, która powoli zanurza się w wodzie... Kobieta jest już w zasięgu jego wiosła, ale nagle między nim a żoną wyrasta wysoka fala, która rozdziela ich.

- To chyba jakiś omam! Nic innego, jak tylko zwidy - myśli Satie - to samo było z rybą.

I mimo woli kieruje wzrok ku brzegowi. W oknach rybackich chat świeci już światło.

- Jom Kipur! Już jest Jom Kipur.

Ze zmartwienia wypuszcza ster z ręki i woła do nieba:

- Boże, zrób ze mną, co chcesz. Niech się dzieje wola nieba, ale w Jom Kipur nie będę sterował łodzią.

A wiatr szaleje. Łódź miotana falami za chwilę zniknie w otchłani wody. I Satie, po wypuszczeniu z rąk steru, siedzi sobie spokojnie. Szeroko otwartymi oczami patrzy to w czarne, zamknięte niebo, to na spienione burzliwe morze.

- Boże, zrób ze mną co tylko chcesz! Niech się dzieje wola nieba!

I raptem przypomina sobie melodię śpiewaną w Jom Kipur przez chór w synagodze. Podchwytuje tę melodię i zaczyna cicho śpiewać. Dla milczka Satiego śpiew jest jedynym sposobem porozumiewania się z Bogiem...

I Satie śpiewa, a niebo staje się coraz bardziej czarne, a fale są coraz większe i większe. I wiatr jeszcze mocniej wieje. Łódź to leci w górę, to spada w dół. I oto potężna fala wyrywa z łodzi ster i ciska go w odmęty morza. Następna fala uderza łódź od tyłu. Wydaje się, że ma zamiar ją połknąć.

Satie wśród huku fal i wycia wiatru śpiewa pieśń zasłyszaną w Jom Kipur w synagodze. I jakby słyszy słowa: „Komu przeznaczony jest odpoczynek i komu tułanie się".

Satie pragnie, żeby śmierć go zabrała w chwili, kiedy śpiewa.

I łódź się przewraca, ale śmierć Satiemu jeszcze nie sądzona, bo oto dwie postacie jakby utkane z mgły wyłaniają się i trzymając się za ręce stąpają po falach ku niemu. Są bose. Włosy mają rozwichrzone. Z oczu bije blask.

Kiedy Satie znalazł się w wodzie, podniosły go, wzięły pod ramiona i razem zaczęły iść po falach ku brzegowi. Stąpają po wznoszących się falach jakby po pagórkach. Prowadzą go pewnym krokiem, a wiatr huczy. Satie chce o coś zapytać, ale słyszy w odpowiedzi:

- Lepiej zaśpiewaj, Satie! Twój śpiew poskromi gniew morza.

Idą razem i Satie słyszy, jak jego łódź płynie za nimi. Obraca twarz ku łodzi i dostrzega w niej sieć, a w niej rzuca się złota ryba.

Doszli tak do brzegu i tajemnicze postacie kazały mu iść do domu. Tu spotkał miejskiego

rzezaka z żoną. Okazało się, że w mieście wybuchł pożar, więc udali się w gości do Satiego.

Zarżnęli rybę i zasiedli do kolacji. Obyczajowi stało się zadość.

## Czasy mesjasza

Podobnie jak we wszystkich miastach i miasteczkach Galicji, tak też i w naszej gminie mieszkał wariat.

Wariat jak to wariat - przed nikim nie odczuwał strachu. Ani przed kahałem, ani przed rabinem, ani przed sędziami. Nawet

łaziebnego z mykwy i grabarza na cmentarzu, którego najbogatsi w mieście się bali, miał za nic.

Ludzie zamykali przed nim bramy i drzwi mieszkań. I chociaż biedny wariat nikogo słowem nie skrzywdził i palcem nie ruszył, to jednak wszyscy podnosili na niego głos, a niektórzy nie żałowali mu kopniaków. Chłopcy z ulicy często obrzucali go błotem i kamieniami.

Ja zaś odczuwałem zawsze w stosunku do niego litość. Coś niepojętego ciągnęło mnie ku niemu. Miałem ochotę porozmawiać z nim, a nawet pogłaskać go po głowie, ale nie dało się do niego podejść, albowiem błoto i kamienie, którymi ulicznicy go obrzucali, mogły częściowo i na mnie spaść. Ja byłem chłopcem ubranym w porządny garniturek, uszyty w samym Lwowie lub Krakowie i usilnie starałem się go nie ubrudzić. Z tego więc powodu trzymałem się z daleka od niego.

Miasteczko, w którym mieszkali moi rodzice, i w którym spędziłem dziecięce lata, było twierdzą ogrodzoną fosą, wałami i wysokimi murami. Na murach rozmieszczone były armaty, a w niewielkich odstępach stali na wartach uzbrojeni w karabiny żołnierze. Gdy zapadała noc, podnoszono zwodzony most i zamykano wszystkie bramy. Aż do rana miasteczko było odcięte od świata. Przy każdej bramie prowadzącej do miasteczka stał wartownik.

Dopiero po nastaniu dnia byliśmy wolni. Wolno było wchodzić do miasta i wychodzić z niego bez pytania komendanta placu. Wolno było zażywać kąpieli w rzece płynącej za miastem. Można było rozłożyć się na nadbrzeżnej łące i patrzeć w niebo lub w siną dal.

Patrzeć na to, na co miało się ochotę. Nikt nikomu w niczym nie przeszkadzał, a jeśli nawet ktoś na czas nie powrócił do miasta, nikt się o niego nie dopytywał. Był jeden tylko wymóg: W nocy musiała panować bezwzględna cisza. Wtedy nie wolno było nikomu ani wyjść, ani wejść. Nikogo nie wypuszczano i nikogo do miasta nie wpuszczano. Jedyne szczęście, że wpuszczają do niego księżyc - myślałem wtedy. Póki życia nie zapomnę widoku odchodzącego dnia i zapadania nocy. Pamiętam, że kiedy tylko pierwsze cienie zmierzchu zaczynały kłaść się na miasto, ludzi ogarniał strach. Z tego strachu ludzie i domy się garbiły.

Przychodziła pora podniesienia mostu. Żelazne łańcuchy zaczynały trzeszczeć w potężnych blokach. Szczęk żelastwa i twarde skrzypienie stalowych lin przejmowały człowieka grozą. I co wieczór powtarzało się to z niesłabnącą siłą. Nogi uginały się ze strachu, twarze tępiały ze zmęczenia, oczy gasły jak u konających, powieki opadały, jakby były z ołowiu. Serca cichły, a płuca z trudem wciągały powietrze. Patrole nocne zaczynały krążyć po ulicach. Słychać było szczęk szabel przy każdym uderzeniu o cholewki butów - gumiaków noszonych przez żołnierzy patroli. Przy błysku bagnetów padały pytania: „Kto tam”? Na to hasło trzeba było odpowiedzieć odzewem: „Swój, tutejszy”. W przeciwnym wypadku jeden tylko Pan Bóg mógł przewidzieć, co się stanie. Toteż nic dziwnego, że wielu mieszkańców wolało zamknąć się na klucz w domu i porządnie zaryglować drzwi. Bali się wychodzić za próg domu.

I oto pewnego dnia zdarzył mi się taki wypadek. Kąpałem się w rzece płynącej poza murami miasta. Rozkoszowałem się piękną naturą i nie wiem, czy z powodu zapatrzenia się w niebo, czy z zamyślenia nad sobą zapomniałem, że po dniu zwykle zapada noc.

Nagle widzę jak unosi się zwodzony most. W uszach szumi mi od trzasku zamykanych bram. Czuję, że serce zaczyna mi walić młotem.

Przepadło! Tę noc zmuszony będę spędzić za miastem. I dziwna rzecz: dotychczas każdej niemal nocy śniłem o wolnym świecie poza murami miasta i oto kiedy po raz pierwszy moje marzenie się spełniło, ogarnął mnie lęk. Odwieczna, znana i właściwa człowiekowi rozterka między tym, co dyktuje głowa, a tym, co podpowiada serce, przybrała postać walki. Głowa mówiła do mnie: „Zachowuj spokój. Choć raz skorzystaj z dobrodziejstwa czystego powietrza. Rozkoszuj się widokiem gwiaździstego nieba”. Serce natomiast zadrżało z niepokoju i omal nie

wyskoczyło z piersi, po czym niby mgła uniosło się w górę, ku mojej głowie. I poprzednia jasna, czysta myśl zaczęła od razu ciemnieć i ciemnieć, aż zniknęła za chrilurą. W uszach zaczęło mi szumieć, w oczach migotać. Najcichszy szum spadającej gałązki, najmniejszy ruch cienia lub źdźbła trawy wywoływał we mnie lęk. Wdzierał się w moje ciało i duszę przez uszy i oczy. Ukryłem twarz w piasku.

Nie wiem czy spałem, czy tylko tak sobie leżałem. Dalibóg, nie jestem tego pewien, ale nagle usłyszałem, że ktoś obok mnie oddycha. Zerwałem się z drzemki i stwierdziłem, że nie jestem sam. Dwoje dobrze mi znanych, czarnych oczu wpatruje się we mnie dobrotliwie. Te oczy należą do naszego wariata. Pytam go:

- Co ty tutaj robisz?

- Ja nigdy nie sypiam w mieście.

W jego postaci jest coś smutnego. Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem. Głos jego brzmi serdecznie, nawet bratersko. Zapominam o lęku. Przypominam sobie nagle, że w dawnych czasach uważano wariatów za proroków. Zresztą w krajach wschodnich jest tak po dziś dzień.

Zadaję sobie pytanie w duchu:

- Czy w istocie on także jest jednym z owych proroków? Czy nie prześladują go tak samo, jak niegdyś prześladowano proroków?

Czy nie obrzucają go kamieniami, tak jak ongiś obrzucano nimi proroków? Czyjego oczy nie błyszczą jak gwiazdy na niebie? Czy głos jego nie brzmi jak najdoskonalszy dźwięk harfy? Czy nie tkwi w nim ból nas wszystkich?

Czy nie znosi on cierpień całego naszego pokolenia? Może on jeden wie, co nas czeka w przyszłości?

Ostrożnie, bez pośpiechu, żeby go nie spłoszyć, zadaję mu pytania.

Odpowiada łagodnym, cichym i tak słodkim głosem, że chwilami wydaje mi się, że rzecz dzieje się we śnie, że to tylko śniony w letnią noc, przyjemny sen.

- Czy wierzysz - pytam go - w nadejście czasów Mesjasza?

- Oczywiście - odpowiada spokojnie i pewnie - Mesjasz musi przyjść.

- Musi?

- Bezwzględnie. Wszyscy czekają na niego. Nawet niebo i ziemia. Gdyby miało być inaczej, życie nie miałoby sensu! Nikt nie chciałby nawet palcem kiwnąć. Jeśli ludzie pracują, działają i tworzą to znaczy, że życie ma sens, że ludzie chcą żyć. To świadczy o tym, że ludzie wierzą w nieuniknione nadejście Mesjasza. Wiedzą, że jest już w drodze do nas.

- A czy to prawda - pytam dalej - że nim nadejdą czasy Mesjasza, rozpętają się na świecie straszne wojny z powodu pojawienia się fałszywych mesjaszy. Ludzie będą się nawzajem pożerać jak dzikie bestie. Cała ziemia przesiąknięta zostanie krwią. Od Wschodu do Zachodu, od Południa do Północy rzeki spłyną krwią, a wszystkie zwierzęta chłeptać będą tę ludzką krew. Nasiąkną nią wszystkie ogrody, pola i drogi. I wtedy dopiero, kiedy ten potop krwi zaleje cały świat, nadejdzie prawdziwy Mesjasz... Powiedz mi, czy to prawda?

- Szczera prawda!

- I ludzie go rozpoznają?

- Każdy od razu go pozna. Nikt się nie omyli. To będzie Mesjasz w każdym ruchu, każdym słowie, każdym spojrzeniu, w każdym nawet grymasie twarzy. Nie będą mu towarzyszyły zastępy wojsk. Nie przyjedzie na koniu i miecza nie będzie miał przy swoim boku.

- A co będzie miał?

- Skrzydła. Mesjasz będzie miał skrzydła. Po jakimś czasie wszystkim ludziom wyrosną skrzydła. A stanie się to w taki sposób: Z początku nagle przyjdzie na świat jedno dziecko ze skrzydłami. Potem drugie, trzecie i tak dalej. I tak już będzie ciągle... Ludzi ogarnie wtedy strach, ale potem się przyzwyczają. I coraz więcej dzieci urodzi się ze skrzydłami, aż wyrośnie całe pokolenie

skrzydlate. Pokolenie to nie zechce już tkwić w błocie i tarzać się w nim. Nie zechce już zaciekle walczyć o nędzny byt, o nędzny zarobek, o robaczywe pieniądze.

Długo jeszcze mówił na ten temat, ale ja przestałem go już rozumieć, aczkolwiek głos miał nadal łagodny i smutny, a słowa jego wsiąkały w moje serce jak w gąbkę. Kiedy skończył, zaczynało już dnieć.

Usłyszałem, jak opada zwodzony most.

Od tej nocy życie moje w twierdzy stało się nie do zniesienia. Wszystko mi obrzydło: Stare zmurszałe mury, trzeszczący ciągle most, żelazne bramy, warty i patrole, chrapliwe wołanie wartowników: „Kto tam”? i fałszywa służalcza odpowiedź: „swój”, „tutejszy”. Obrzydły mi do reszty te wiecznie drżące ze strachu gliniaste twarze mieszkańców, ich przerażone oczy. Nie mogłem dalej patrzeć na rynek, który swoimi drgającymi, błądzącymi cieniami kładł się ciężarem na mojej duszy. Nie pozwalało mi to oddychać pełną piersią. Nie pozwalało czuć się wolnym człowiekiem. Uświadomiwszy sobie to wszystko, poczułem w sercu ból. I naraz ogarnęła mnie przemożna tęsknota... Postanowiłem wyruszyć na spotkanie Mesjasza.

***

Wsiadam do pierwszego napotkanego wozu. Bałaguła mierzy mnie wzrokiem i pyta:

- Dokąd?

- Dokąd chcesz, byle daleko stąd.

- Na jak długo?

- Jak długo koń wytrzyma.

Bałaguła pociąga za lejce i jedziemy. Coraz bardziej oddalamy się od miasta-twierdzy. Przede mną inne pola, inne wsie i inne miasta. Wszystko jest inne. Jest to jednak wrażenie pozorne. Z wysokości wozu wydaje się inne. W istocie rzeczy wszystko jest takie samo. Przypatrzywszy się dokładnie mijanym miejscowościom, dostrzegam unoszącą się nad nimi tę samą melancholię. W oczach spotykanych ludzi zauważam te same fałszywe błyski. Nad wszystkimi polami, miastami i wsiami unosiła się mgła, która nie przepuszczała światła z nieba. Gasiła wszelką radość. Wszystko zdawało się skurczone, przyduszone i ściśnięte. Dlatego bez przerwy poganiam mego bałagułę. - Dalej - krzyczę. - Jedź dalej!

- Ale nie ja decyduję. Zależny jestem od bałaguły, a ten zależny jest od konia... A koń chce żreć. Chcesz czy nie chcesz, musisz się zatrzymać.

Wstępuję do przydrożnej karczmy. Duża izba przedzielona na dwie części zwisającą zasłoną. W tej części, do której wszedłem, siedzą przy dużym stole trzej mężczyźni. Nie zwracają na mnie uwagi. Za to ja mogę sobie dokładnie ich obejrzeć. Najstarszy z nich jest siwy jak gołąb,

ale trzyma się prosto, jest żwawy i ma zdrowe oczy. Bez okularów czyta w jakiejś dużej, leżącej przed nim na stole, księdze. Na tle białej brody, sięgającej otwartej księgi, on i księga sprawiają wrażenie jednej całości. Po jego prawicy siedzi młodszy mężczyzna. To zapewne jego syn. Ta sama twarz, ale bardziej ruchliwa, bardziej nerwowa. Chwilami wydaje się zmęczona. On także ślęczy nad księgą. Oczy ma jednak słabsze. Nosi okulary. Jego księga jest trochę mniejsza i trzyma ją blisko oczu. Jest w średnim wieku. Broda i pejsy zaczynają już tu i ówdzie świecić srebrem. Kiwa się nad księgą. Raz do przodu, raz do tyłu. Odnoszę wrażenie, że ma ochotę oderwać się od księgi, ale nie daje rady, bo księga przyciąga go z powrotem. Dostrzegam, że wargi jego drżą. Raz po raz patrzy na starego, ale ten nie reaguje. Nie zauważa go. Po lewicy starego siedzi najmłodszy. Z pewnością jest to jego wnuk. Młodzieniec ma czarne, błyszczące włosy i nerwowo skrzące się oczy. On też zagląda do książki, która jest znacznie mniejsza od ksiąg obu starszych od niego mężczyzn. Książkę trzyma tuż przed oczyma. Od czasu do czasu odsuwa ją od oczu i spojrzeniem pełnym lęku i szacunku obejmuje starego mężczyznę. Na ojca natomiast patrzy z uśmiechem nieco ironicznym. Nachyla się ku zasłonie ciekaw, co się za nią dzieje. Dochodzą stamtąd jakieś westchnienia i jęki. Jakby kobieta właśnie tam rodziła.

Mam zamiar zakaszleć, żeby wreszcie zwrócili na mnie uwagę, ale w tej samej chwili rozchyla się w jednym miejscu zasłona i dwie kobiety pojawiają się przed nami. Jedna jest stara, z twarzą o wystających kościach, i oczach zdolnych przeniknąć do wnętrza człowieka. Druga kobieta, młodsza od niej, w średnim wieku, ma twarz pucołowatą, łagodną. Z jej oczu bije jakaś niepewność. Stoją i przyglądają się siedzącym przy stole mężczyznom. Stoją i czekają na pytania. Najstarszy nie zwraca na nie uwagi. Jego dusza jest teraz zespolona z duszą czytanej księgi. Mężczyzna w średnim wieku zastanawia się, jak przywołać do przytomności ojca. Najmłodszy zaś nie zwlekając zrywa się z miejsca i woła:

- Mamo! Babciu! I co...

Jego ojciec wstaje od stołu. Jest wyraźnie zaniepokojony. Tymczasem dziadek odsuwa na centymetr księgę od siebie i kieruje wzrok ku kobietom.

Najmłodszy drżącym głosem ponawia pytanie:

- I co z nią?

- W porządku. Już po wszystkim.

- Urodziła? Urodziła?

Ojciec najmłodszego głosem, w którym brzmi zdziwienie, pyta:

- Matko, dlaczego nie gratulujesz? Dlaczego nie mówisz mazeł tow?

Stary zaś po dłuższym namyśle powiada:

- Co się takiego stało, że nie słyszę od ciebie mazeł tow. A jeśli nawet urodziła się dziewczynka...

- Nie, żadna tam dziewczynka - odzywa się starsza - to nawet chłopiec.

- Martwy?

- Ależ nie! Żyje - odpowiada stara kobieta, ale w jej głosie nie ma radości.

- Czy to jakiś potworek lub kaleka?

- Nie, ale na ramionach ma jakieś znaki.

- Jakie znaki?

- Znaki skrzydeł.

- Skrzydeł?

- Właśnie. I zaczynają z nich wyrastać skrzydła.

Słysząc to, stary aż przysiada z przerażenia. Jest wyraźnie zatroskany. Mężczyzna w średnim wieku zdumiewa się. Tylko najmłodszy podskakuje z radości:

- Świetnie! Doskonale! Niech rosną te skrzydła. Niech wyrosną na prawdziwe, duże, mocne skrzydła.

- Nie ma powodu cieszyć się z tego - odzywa się mężczyzna w średnim wieku.

- Straszny kaleka - wzdycha najstarszy.

- A to dlaczego? - pyta najmłodszy.

Stary, stanowczym, surowym głosem oświadcza:

- Skrzydła, wnuku, unoszą człowieka w górę... Ze skrzydłami nie można utrzymać się na ziemi.

- To co z tego - replikuje wnuk - wielka mi rzecz, żyć na ziemi i tarzać się w jej błocie. Lepiej żyć wysoko w górze. Czy niebo nie jest piękniejsze od ziemi?

Twarz starego pokrywa się bladością. Ojciec najmłodszego zabiera wtedy głos:

- Głuptas z ciebie, moje dziecko! Jak można żyć na wysokościach? Czym można się tam odżywiać? Samo powietrze nie wystarczy. Tam nie ma karczmy. Tam nie dostaniesz koncesji na dostawy. Nie ma nawet gdzie i u kogo kupić zajęczych skórek. Tam wysoko, w górze...

Stary mu przerywa. Ostrym, stanowczym głosem oświadcza:

- Wysoko w górze nie ma bożnicy. Nie ma domu nauki. Nie ma miejsca do odprawiania modłów. Tam nie ma tej udeptanej

przez wszystkie poprzednie pokolenia ścieżki. Tam w górze człowiek zabłądzi, zabłąka się, bo nie ma drogi, po której kroczyli wszyscy nasi poprzednicy... Jest się wprawdzie wolnym ptakiem, ale biada takiemu wolnemu ptakowi, jeśli dopadnie go zwątpienie i ogarnie melancholia!

- Jak się będzie nazywał? - prawie krzyczy już namłodszy.

Widać, że jest wściekły. Zalewa go krew. Oczy goreją. Chce

coś dodać, ale babcia wpada mu w słowa...

- Głupi mężczyźni! O czym wy tu dyskutujecie? A rabin....

- Czy rabin pozwoli go obrzezać? Czy pozwoli odmówić błogosławieństwo nad skrzydlatym dzieckiem...

***

I w tej sekundzie budzę się. Mój nocleg poza miastem, moja podróż i historia ze skrzydlatym dzieckiem okazały się zwykłym snem.

***Aaron Baranowski, Kohn Artur – Częstochowa, 2017***